

Dziennik domowy.

*Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.*

REJ z NAGŁOWIC.

ROK 1841.

Poznań, dnia 9. Czerwca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydana jest rycina mód paryskich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 3, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Wianki na Wiśle.

I.

«Pierwszy raz jesteś w Warszawie,» pytał się mnie mój przyjaciel — «że tak dziwnie i ciekawie spoglądasz na okół siebie?» —

«Nie, — już ją drugi raz zwiedzam», odpowiedziałem — «lecz znajduję inną od tamtej, i chociaż te massy ludu migają naprzemian, i ten nieustanny krzyk woźniców na czwałem pędzące konie jest tu zawsze ten sam, ale w ich twarzach inny ruch, życie jakies nowe — nie widać żadnego wstępu ku sobie, różnicę stanu lub ubioru, zgoła zrównali się ludzie — uciechą jakąś.» —

«A więc», odrzekł mi — «ja ci krótko to wytłumaczę — jest to dzień wianków na Wiśle. — A teraz poprowadzę cię na miejsca, gdzie myśl twoja bujać może w przestrzeniach serc ludzkich — których to tam najmniejsze tajemki dostrzedz można bez oka badacza. Uroczystość zaś ta odbywa się w dzień Stgo Jana*), na który rok cały czekają w niecierpliwych marzeniach. Ranek dzisiejszy najmiliej spędzisz w ogrodach — i otoż ogród opodal» — ale się wstrzymał — bo tam uroczę spoj-

*) Wianki wzięły początek jeszcze od czasów pogańskich, pod nazwiskiem Sobotki, Kupała. — W dawnych wiekach dziewczica Sobotka kochała Sieciecha; ten gdy z wojny powrócił i wiarę dochował — zapalono weselne ognie; — wtém tłum najezdników się pokazał — wszyscy rzucili się do broni — w walce téj śmiertelny pocisk odnosi Sobotka — lecz nieprzyjaciel odparty. Na cześć téj kobiety pamiątka ta obchodzona została. — I obchód ten Sobotką zwany i owa wieźca z ziela i kwiatów ubrana i oświecona.

Rok drugi.

zenie z okna uleciało — pokłonił z wolna — a tam ktoś zapłonął — może z wdzięczności — i gdym go naglił, krucze swe pukle rozpędził z za czoła i z smętném wejrzaniem poszliśmy dalej. Za bramą ogrodu przedzielił nas na chwilę tłum, któren tam się ciśnie, aby dobrać kwiat znaczenia swéj myśli — i szuka — a taże myślą goni po sercu.

Zesliśmy się u strojnych wieźcy z kwiatów układnie cieniami złożonych.

«Widzisz, jak tu ludzie», rzekł mi, — «prawie się dziećmi stają — ten tam jak bieży daleko, przy wilgotném miejscu ogrodu, najmniej uczęszczaném dawniej, dziś jemu zajaśniała tkliwa niezapominajka, już widzisz, ją zrywa, i cieszy się jęj, jak dziecko lalce.» —

«A tamten», zapytałem — «co tak goni za nim, wyrwawszy ten piękny aloes z téj tu piramidy — aż zadrgnęła cała z pośpiechu!»

«To jest ogrodnik, który cały rok kwiatami zajęty — dziś dalej chce myślą sięgnąć i do ubioru lub miny swą sprzedaż stósuje, ale nie mając nic z ludźmi wspólnego, nie zna ich różnicy, i jak w kwiatkach one stósuje, im droższy tój piękniejszy.» —

«Ale on darmo krzaka i kaszle; widzisz, jak ten marzy?»

«O bodaj mu nie przerywał — nie znając mam pociąg do niego, który zrodziła zapewne myśl z myślą zetknięta tam — chyba w powietrzu.»

Ogrodnik musknawszy się pod brodę uciesznie, podał mu aloes w milczeniu — lecz rzutem ręki odrzucony został; twarz mu zaiskrzyła i patrzył zdziwiony na młodzieńca, który podniósł kibić wysmukłą od kwiatków, odgarnął ciemne długie wło-

sy z czoła i ukazał to niebieskie oko w oprawie swęj długiej i ruch zrenicy wolny — lecz dumny.

O, ja go zrozumiałem, pomyśliłem sobie, i ty, gdybyś nie handlu miał serce, raz spojrzal mu w oczy — w czoło — odgadłbyś zapewne: on dumny, lecz dumny ze wspomnień, na każdą myśl postępu odradza się, a więc i przyszłość w przeszłości nowęj siły nabierze.

«Widzisz przyjacielu» — rzekł młodzieniec do niego — bo się ulitował — «ja z tegotu skromnego wianek urobie — chce go puścić na Wisłę daleko, i mieśc tych oddech i myśl moją całą z nim razem oddać: tak połączywszy obie tam, pieśń radością zabrzmi, a echo choć dalekie, bratni głos nam poda.» —

Ten słucha i nie pojmuje. Połóż pan kwiat ten w środek wianka, nadasz mu znaczenie i piękność. —

Młodzieniec zmierzyl go okiem, w którym widno oburzenie, — lecz i czoło się wypogodziło, oczy litośnie zadumały — on odgadł, że gdzie egoizm panuje, tam wieczna ciemność, a w sercu tylko słów echa. Na wszystko odrzekł więc jemu: «Nie, tu kwiat sztuki mieścić się nie może, on cieplarni potrzebuje, aby siły nabrał, a potem kiedyś zakwitł z zaniedbaniem drugich. Nie sztuczny kwiat ten wianek zdobić będzie; i te tylko piękne, które sama wiosna rodzi, same się utrzymują, rozkrzewiają.» —

Odszedł, a ja ciekawie spinając się po za drzewa, aby jeszcze widzieć tego człowieka, którego jak wieszczka słuchałem — lecz znikł. — Obracam się i mój ogrodnik widzę duma, i może już co już odgadł myślą serca, gdyby go kolec nie ugodził w rękę i jakby zły duch owionął codzienny — poszedł dalej. —

Tu spotykamy znów dziewczynkę, — mija nas w skokach po owęj ścieszce, rzuca tu i tam niecierpliwęm okiem, ale kroku nie przyspiesza wcale, i tak jakżeby ociągając się za kimsiś; wtém nagle w bok wybiega na śliczny trawnik, twarz jęj blada, rozjaśnia się jak światełko dalekie, gdyż i ona myślą widać tylko daleką się cieszy, — bieży — i znów się obraca — może pociechą, nadzieją chce się rozdzielić; i już stanęła przy małej kępcie bławatek, uśmiecha się do nich — lecz wzrok potacza po za siebie. — Aż i z pomiędzy ludzi wysuwa się kobieta, czoło jęj siwem włosem pokryte, nie z wieku lecz z cierpień duszy, — spostrzegłszy dziewczynkę, zbiera swe siły, aby dojsć prędzej — ale ta nie da się uprzedzić i zrywając kwiatek, na znak swojej myśli, lotem sarny już przy nięj

pokazuje co znalazła, a za słowa oddech polotu przemawia — potem pochyliła się ku ziemi, zjrzała pod rzęsy staręj i zawołała: «czegoż płaczesz ciociu, czyś nie kontenta z wyboru? — ja umyślnie bławatek wybrałam, bo — powiem ci dla czego — jest on pamięci godłem — i darujesz ciociu, — ale ja chcę tak o to pomyśleć — czy też o mnie Edmund nie zapomniął? — A tyś markotna i chmurka zaszła ci na lica — ja wiem przecie, że myśl jego z nami tylko żyć powinna — i żyje — bo któż, zrodzony nad przezroczem naszęj ukochanęj Wisły, może jęj brzegi zapomnieć — i o swęj matce on zawsze marzy i we śnie i na jawie — ale o mnie?» dodała z cicha — westchnęła, ciemne jęj oko pomrok przyodział, i dalej mówić poczęła: — «Choć przeznaczyłaś mnie już dzieckiem jemu, dziś może nie zapamięta, gdyż dzieckiem mnie pożegnał; — wtedy pieścił się, jak lalką nazywając mnie swoją! — i tak dla siebie chcę widzieć, czy i dziś o mnie myśli? — bo co ja, to nigdy zapomnieć nie zdołam!» — Tu jakżeby słodzić tę chwilę sobie chciała, mówiła dalej: «pamiętasz ciociu — gdyż to już tak dawno temu, Edmund nigdy się nie gniewał na moje pustoty — bawił się, choć dużo starszy odemnie — a tyś się uśmiechała — lecz później owe chwile były samotne dla nas — jakaś burza — i on wśród nięj — a od nas daleko — powrócił — lecz już tylko pożegnać się z nami — on pewno tęskni za matką wśród obcych, — a mnie mu nikt tam nie przypomina.» —

«Drogię dziecię, — uspokój się, idź, radź się przepowiedni — bo przeczuwam — a serce matki widzi daleko — nie trzeba wam ciała — dusza duszę przeczuje i pozna, — tak wasze dusze tworzyły jedność.»

«Cicho — cicho ciociu, jeżeli mój wianek jaka piękna łódź doścignie, to i myśl jego bieży za nami, a kolor łodzi, jeżeli niebieska, więc stałość.» Ledwo skończywszy te słowa, już przy kwiatkach, zrywa i skacze, ciesząc się — czém? — nadzieją!

«Dowiedziałeś się teraz» — rzekł mi mój towarzysz — «skąd pochodzi ta zmiana dziś u nas — i kiedyś poill się on tym widokiem, i ja także znalazłem uśmiech szczęścia dla siebie. — Bo on kochał — i urok ten rozlewał na wszystko, co go otaczało, on swobodny i u mnie oddech wolniejszy. — «Zejdźmy już z tego miejsca handlu» — mówi do mnie — «widzisz coraz mniej ludzi, tam dalej cichość zupełna, zapowiadają nam godzinę południa.» —

Wyszliśmy, już tylko gdzie nie gdzie po mieście stały małe gromadki rzemieślników, młodych dzie-

wczą, które gwarno rozmawiały, podsycając rozmowę rękoma.

Gdy druga godzina nadeszła, prowadzi mnie mój przyjaciel ku Wiśle, — idziemy a w około nas ciągną się chmury ludzi, wesole — lecz coraz bliżej mostu przestaje ów szmer. — Zapewne każdy marzy w jakiejś myśli swój wianek porzuci — i zda się, że jedna myśl ich gromadzi, a jednakże jak różne odcienia całość onych tworzą! — Już u nóg moich Wisły błyszczące brzegi się ukazują, — po niej nareszcie widzę uganiających się wioslarzy w zielonym stroju przybrani, tylko powierzchwie ich statków różnią się kolorami, które to w kształcie parasola oparte w rogach na czterech kolorowych filarach, nadają wioslarzom cień i urok tajemniczy. —

Słychać cichy szmer — czasem po ciszy ogólnej jeden okrzyk się rozchodzi, tam wszyscy oczy zwracają — to wianek utonął — tu znów trzepią radośnie rękoma, gdyż piękna łódź zielona schwyciła różanny wianek; — dobra zład wróżba. — I tak przebiegają jeden drugiemu, by prędzej za poręcz mostu uchwycić; nie boi się nikt twarzą swych uczuć zdradzić, gdyż dążność jedna kojarzy ich serca, oni jednej przepowiedni się radzą. — Szukam i ja wszędy dwóch osób mnie już sercem znajomych, a które coś wspólnego mają ze mną, kiedy mój towarzysz pociągnął mnie za rękaw i rzekł: „Oto patrz, nowy widok ci się przedstawia;” — oglądam się, wlepiam moje oczy, które już dosyć nasyściły się widokiem.

Była to już szósta godzina z wieczora, gdzie tak nazwany wielki świat przychodził się przypatrywać — od początku ulicy podgórnej aż do mostu, najpiękniej przybrane kobiety idąc ręka z ręką zwita, wydawały jedno pasmo stubarwnych kolorów, których boki czarnymi punktami zakończone, oparte o mury kamienie przyćmiwały ów połysk różnobarwny. — Byli to mężczyźni strzegący tych piękności; i nie raz też wstrzymywali krok biednej dziewczyny od chwilowego jej natchnienia, aby powłók któren nie nadepta — owi protektorzy płci słabej niewieści, — bez których w coby się były garnitury sukien obróciły! — a że i tę część świata tworzą wysocy urzędnicy, łatwo im było wygodnie dojść mostu. — Zdawało się, że ruch ten z powiewem wiatru się ugina, by znów się podniósł, tak jednostajne i wolne kroki tychże szeregów wrażenie robiło. Przez dwie godziny nie było różnicy w ilości tych ludzi — ulica więc równy widok przedstawiała — coraz bliżej mostu rozmaitość stanu, stroju rozróżniać się dawała; stępują na most

machinalnie, niby przechadzki użyć — i niejedną znajomą osobę widzieć, lecz wianka żadna z nich nie weźmie od ofiarujących ogrodniczek, które tam w czarujących koszykach przynoszą, pokazałyby się przesądnymi. — Jakże te formy ścieśniają pęd serca, czemuż oni żyją dla tego, co o nich powiedzą — bodajby zrzucili się z tego, a co uczuć nowych w ich duszach by się odkryło — szczęście nie zdałoby im się ideałem, gdy nie patrzeliby okiem przymusu. —

Lecz i otóż z uciechą rozpoznaję w tłumie szukanych już osób; — Mężczyźni kibić wielką wynosiła go nad powierzchnie, z twarzą obojętną spoglądał na okół siebie. Za nim dziewczynka owa pędzi, popycha, trzymając wianek do góry, aby oddech drugich go nie owionął; — nie słyszy wołania — łamie porządek wymierzonych kroków i jest prędzej minutą na moście, i już — wzniosła rączkę w górę — lecz znów chwilę się wstrzymała — może to jest żal rozstać się z nim? — Ale nie, to ciotka nadchodzi. —

Czegoż i młodzian biegł teraz — i stoi pomiędzy ciotką a dziewczyną, lica jego zawsze blade — ale te oczy blaskiem zaświeciły, a na czole osiadł promień ostatni zachodzącego słońca, i brew gęsta jak cień myśli stała nieporuszona, potem usta zadrgnęły — i posiniały — może febra — wianek jego jak życzył sobie drożyną popłynął, więc nie z smutku.

Dziewczynka pocałowała ciotkę, może to błogosławieństwo — wniebo zajrzała i ach! — utonął — za blisko brzegu rzuciła, piana Wisły jak gdyby naigrawając się z jej przestrachu, tak długo obwijała go w około, aż przecie jedno mocniejsze odbicie wody oblało go i popłynął na środek z kryształowemi perlami po sobie; jakże miła jej uciecha była, klaskała rękoma, kolory wystąpiły po jej licu. — I młodzian ręce wyciągnął do nich — lecz obejrzał się — i spuścił.

Wioslarze zbiegają się w jeden punkt — odczepiają dwie łodzie, jedna ciemna, druga niebieska i pędzą tą stroną, wyścignęła złowroga, pewno go schwyci — patrzą, oddech wstrzymują, by do biegu nie dopomógł, lecz wioslarz się poślizgnął, zatrzymał — łódź nadziei dogoniła i płynnie napowrót zawiesiwszy wiano u góry. — Tu już radość słów nie miała, lecz w łzach słodko, miło do duszy wstąpiła; — i nieznajomy łzę uczuł w oku, wstrząsnął głową i siłą duszy zniknęła, ale widziałem jak stał w tém samym miejscu długo — skrzętnie spozierał za odchodzącymi.

„Wieczor już późny, chodźmy, — rzekł mi mój

przyjaciel — «gdyż i tłok ludzi coraz większy się zbiera» —

«Co są ci ludzie?» — zapytałem.

«To są ci, którym prace dla możniejszych dzień w domu przepędzić kazaly,» odrzekł mi. —

Więc noc ich wolna, i niebo im sprzyja bo piękne, spokojne — a gdy ciemnieć poczęło, owa wieżyca w głębi ludu się ukazała, — massa ta ruchem się zbliżała, a ona w środku na głowach nie-siona gwiazdą ich szczęścia stała tam nad nimi, — lecz coraz bliżej nie już jednym punktem światła, ale piramidą, tysiącem światel zaśniona, i gdy na most ją wniesiono, Wisła miliony pocałunków jej słała, spuścili i śpiew ich zdał się być głosem nieba — a ona tém jaśniej świecić poczęła — i dalekiem była światłem.

(Dokończenie nastąpi.)

Pomysły o wychowaniu ludów

przez Karola Libelta.

Dość obszerną jest literatura pedagogiczna; ale we wszystkich tych księgach o wychowaniu nie znajdziesz nic więcej, tylko rady, pomysły, systemy, jak wychowywać człowieka. To się też na pozór zdaje dostatecznym. Niech tylko każdy będzie czarny, a będzie ród murzynów, nie ludzi białych. Zbyt powszechny jest taki rodzaj wnioskowania. Poco chcieć reformować naród, niech tylko każdy od siebie reformę zaczyna, a reforma narodu sama się robi. Podobnie niedorzecznym musiało się wydać przedsięwzięcie szukać środków oświecenia ludu, albo więcej jeszcze oświecenia rodzaju ludzkiego, boć dosyć i naturalniej oświecać jednostki, a będzie summa oświecona. Nikt więc nie pisał o wychowaniu ludów i nie mamy pedagogii z tego stanowiska uważanej.

Ale wnioskowanie powyższe na fałszywych zupełnie oparte wyobrażeniach. Nie zawsze podobieństwo z rzeczy fizycznych, z prawd matematycznych brane da się przenieść w sfery ducha; nie dla tego, żeby prawda w materji nie była prawdą w duchu, lecz że poprzedniki tych prawd i towarzyszące im okoliczności są różne. — Oświata mass nie jest to summa jednostkowych światełek, niby punktów, nie jest zbiorem milionów promieni niby kresiek, ale jest światło jedno, jak duch narodu i czasu jest jeden, niedzielny, nie złożony. Gdybyś oświatę dzisiejszą rodzaju ludzkiego rozstrzelił w jednostki, czyli gdyby każdy swoje światło ściągnął

w siebie, niejako zamknął okienice ducha swego, byłoby ciemno, byłaby ćma sama. Oświata zatem musi świecić zewnątrz człowieka, uważana w nim samym jest utajona, na podobieństwo jak ciepłik w ciałach fizycznych jest utajony (latent) i skutku żadnego nie wydaje. Tak massa cała ludzkości, a przynajmniej massa ludu, musi świecić jednym światłem, i to dopiero będzie jej oświeceniem.

Wychodząc z takiego pojęcia oświaty, widzimy na jaśni, że nie dźwigniemy oświaty w massach, jeżelibyśmy chcieli każdego człowieka z osobna oświecać. Byłaby to praca, już i dla tego szalona; bo te massy mają miliony jednostek, które nieustannie śmiercią ubywają i czynią pracę daremną. Kiedyżby więc człowiek doczekał się wszystkich dóbr towarzyskich, swobód, wolności, oświaty, gdyby szedł za jednostkowym owym systemem. Byłoby to stać nad rzeką i czekać aż przepłyynie.

Wszystkie dobra towarzyskie pozyskują się jednocześnie działaniem, a tego nie wywołasz drogą pojedynkowego nauczania, ale innymi środkami. To też inne środki być muszą i być musiały, które podnosiła się i podnosi oświata mass, a pedagogia ludzkości i pedagogia narodu na poznanie tych środków i na umiejętnym ich kierowaniu polegać musi.

To co się na powierzchni społeczeństwa znajduje, niby biała pijana na powierzchni wód morskich kipiąca, i co powszechnie bywa uważane jako wyraz oświaty, lubo jest jej wyskokiem, owe nauki i sztuki piękne będące tylko garsztki narodu udziałem, nie może być wyrazem oświaty mass narodu. Co Michał Wiszniewski o oświeceniu do XVI. wieku w Polsce powiedział: «że naród stroni od mędrców w biretach i togach, z nimi ani jednej myśli, ani jednego uczucia nie ma wspólnego: Nie zna ich, choć coś tam nawet piszą. Głościc oni za granicą, na soborach bazylejskim i konstancyjskim ich poważają, ale w kraju nie widać światła, któreby z ich rozchodziło się nauki»; (w przedmowie do hist. lit. pol. VIII), to samo jeszcze i dziś i u nas, i u innych narodów zastosować da się. Różnica ta tylko, że dziś lub indziej liczba umiejętnie ukształconych jest większa, niżeli dawniej była, ale w porównaniu do mass zawsze jeszcze mała.

Zważając na tę różnicę zachodzi pytanie, czyli tą drogą, to jest przez coraz głębsze zstępowanie światła, nie dojdziemy wreszcie do oświecenia mass całych, czyli wystawiając sobie społeczność ludzką, lub przynajmniej społeczność jednego narodu w postaci olbrzymiej piramidy, po której światło,

jak w górach, od czubka do coraz niższych i szerszych objętości zstępuje, czy się z czasem i ostatnie jej pokłady nie objaśnią. W takim razie należałoby pracować, aby owę oświeceniową górę dać jak najrozleglejszą podstawę i spuszczać ją jak najniżej. I były i są takie kraje, gdzie taką zaprowadzono metodę, gdzie były uniwersytety, a szkół nie było, gdzie zakładano fabryki wielkie, a rękodzielni brakło, gdzie uczono Bóg wie czego, tylko nie rzeczy najpotrzebniejszych; gdzie u wierzchołka piramidy socjalnej sztuczne pali się światło, a u spodu óma gruba ciemność zalega, którą gdy światelko jakie według metody Lankastra rozpędzić na jednym punkcie obszernej przestrzeni zaczęło, z umysłu przygaszono, jako wsteczny kierunek oświaty (Wspomnienia Jełowickiego).

Widoczną rzeczą, że czas ów błogi powszechniej oświaty, jeżeli nie zupełnie urojony, to przynajmniej bardzo daleki. Biada więc massom narodów, tym ostatnim warstwom towarzyskiej piramidy, boć tam przy takim systemie wieczna ciemność panować będzie. Dalej światło narodu nie jest światło sztuczne ani pożyczone, ale z ducha narodowego, a zatem z całości narodu rozwijające się, i z massy wysyła w górę geniusze jako szeroko świecące meteory. Ani więc z góry na dół, ani z dołu do góry iść ma oświecanie, ale z całości narodu od razu wydobywać się i świecić.

Oświatę mass fałszywiebyśmy rozumieli, gdybyśmy sobie pod nią wystawiali zrównanie wszystkich ludzi do jednego stopnia oświecenia. Wyobraźnia malująca sobie przyszłe wieki w takim obrazie doskonałości, że pastuch bydło wyganiający będzie czytał bukoliki Wirgiliusza w oryginale, a rzemieślnik rozprawiał o Platonie i Heglu, albo że maszyny wszystko za ludzi robić będą na ziemi, a oni wyprawy czynić na księżyc i planety, — wyobraźnia taka jest chorowita. Oświecenie mass jest uszlachetnienie plemienia ludzkiego, a to nie zależy na wiadomości wielu rzeczy. Wiedza naukowa jest w pojedynczych ludziach, a im większa jej rozciągłość, tém większe niepodobieństwo, aby była w każdym. Ona kwiatem oświaty, z czubków samych towarzyskiej rośliny wykwitująca, a owoce tego kwiatu nie zawsze naród cały spożywa. Lud i ród ludzki uszlachetnia się, gdy się w massach pojęcie godności jego, a zatem godności człowieka w ogólności wyrabia.

Owe nosce te ipsum (znaj siebie samego), jeżeli uważane bywa za najwyższą indywidualną mądrość, położone na czele wychowania ludowego, będzie oraz najwyższym szczeblem mądrości naro-

dów. Trudno zapewne poznać siebie samego, ale o wiele trudniej, ażeby się lud jako lud poznał. Jeżeli człowiek na drodze poznania swego latami postępuje, kroki ludów ku temu samemu celowi wiekami się mierzą. Świat stał 4000 lat, liczył Sokratesów i Arystotelesów, a dopiero nauka Chrystusa zrównała ludzi w obliczu Boga; świat stał znowu blisko 2000 lat, a dopiero rewolucya francuzka zrównała ludzi na ziemi, ale w obliczu prawa; ileż lat będzie potrzeba, ażeby ludzie byli równi w obliczu siebie?

Otóż takim pochodem o tysiącach lat kroczy rodzaj ludzki naprzód, takim długowiecznym postępowaniem rozwija się pojęcie godności człowieka. — I ten to rozwój pojęć, nazywam oświeceniem mass.

Kiedy Fryderyk W. pokazywał wojsko swoje jednemu z książąt niemieckich, i stanęły długimi rzędami sążniste Germany, bagnietami najeżonemi lśniące, ustawione batalionami, i na jedno słowo komendy zmieniały się, szykowały, zwiły i rozwijały, zapytał się król filozof gościa swego, co by w tym wojsku upatrywał dziwnego. On upatrywał dobór rosłego żołnierza, wojenną postawę i dokładność obrotów. Nie to, odrzekł Fryderyk, ale to jest dziwna, że tyle tysięcy uzbrojonych mnie bezbronno słuca i drzy przedemną. — Co jest lud? jest to massa martwa bezwładna (*masse inerte*), która, w spokoju, spoczywa jak massa ziemi, a w zburzeniu, wylewa się jak lawa wszystko niszcząca. Takie jest rozumowanie dzisiejszego francuzkiego polityka. — Lud jest piłką, którą sobie dorzucają pojedynczy ludzie, potężni geniuszem, opinią, wolą. Massy te są narzędziem w ręku tego, co je pierwszy opanuje, powiadają publicyści dzisiejsi; — massy ludu podobne są trzodom owiec, które potrzebują koniecznie pasterza, co by je prowadził knutem, berłem lub pastorałem, albo psa, co by je oszcze kiwał szczęką oręża lub hałasem dyplomatycznym; jest zdanie nowoczesnego filozofa.

Aż serce boli widzieć w człowieku człowieka, a w ludziach widzieć tylko maszynę, lawę, piłkę, trzodę owiec. A przecież tak było, tak jest jeszcze wielokąd, ale było i jest przez niepodniesienie się oświaty w massach, a zatem winą nieoświecania, nie koniecznością, żeby tak być zawsze musiało. — Ród ludzki i lud nie jest massą, i on odbiera wychowanie. Zastanowimy się, jakie ono było w kolei wieków, aby ztąd zrobić wniosek na przyszłość.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Początek poematu

przypominającego

czasu *Augusta II. i Stanisława Leszczyńskiego*

przez F. Ł.

I.

Alboż ja to nie Krakowiak, alboż nie mam nuty,
Darmoż z stalnych podkówceczek sypię ogień suty?
Spiewa ptaszek w czystym polu, śpiewa i kochana,
I ja sobie téż zaśpiewam, danaż moja dana!
Będę śpiewał ów wiek złoty, owe sławne czasy,
Gdzie kontusze celowały i zlociste pasy.
Stańcie bracia przyjaciele, podajcie mi dłonie,
Niech was jeszcze raz uścisknę, nim piosnkę poronię;
Bo gdy biorąc lutnię w ręce patrzę w wasze oczy,
Dusza we mnie się raduje, ledwo nie wyskoczy.
Kto posłucha, niechaj słucha, kto słuchać nie raczy,
Niech go za to Bóg polaje, śpiewak mu wybaczy!
Płaczą brzozy na pagórku, smutne cienia ścielą,
Wzdycha rola poorana, z niej się kości biela.
Tu z mą lutnią będę siedział i śpiewał do rana:
Danaż moja, dana dana, piosenka kochana!

II.

Jaskóleczo! kędy lecisz, czy jesienne chwile
Każą tobie rzucać strony, gdzie gościłaś tyle?
Czy się lękasz rychłej burzy, wichrów i zamieci?
Jeszcze niebo dość pogodne, jeszcze słońce świeci!
I ta ziemia chociaż zda się być smutniejszą oku,
Oh! ten smutek niezwykłego przyczynia uroku.
To wieczerek w mglistej szacie, tęskny jak kochanka,
Czyż na jutro nie rokuje prześlicznego ranka?
To słowicza pieśń gdy z niebios splywa gwiazda złota,
Jakiż smutek, a w tym smutku jak luba pieszczota!
To dziewica jest w chorobie, chociaż zgaśł rumieniec,
Czyliż się w niej nie rozkocha namiętniej młodzieniec!
Raz nad długim tam ugorem tęskne wodzisz loty,
Jaskóleczo, bój się Boga, nie zwiastuj nam sloty!
Znów po modrej szybie wody muśniesz piersią białą,
A jeźlić się kędy tobie przysiąść spodobało,
Pod wieśniaczej chaty strzechą w rozkosznej swawoli,
Oh! dla ciebie ileż tam jest szczeroty i doli!

III.

Na podwóreczyk w szybkim biegu wpada konik siwy,
Opienione jego piersi, rozdmuchnione grzywy.
Na nim wjeżdża dzielny jeździec głowy pochyliwszy
Od niechęcia, i z uśmieżkiem wąsa podkręciwszy.
Czapka żółta, na bok zwisła, kontusik szarawy,
Wysłuzony, ba i teraz okryty w kurzawy.
Na koniku bez czapraka terlica niemiecka,
W ręką kańczuk, a przy boku szablica turecka i t. d.

ROZMAITOŚCI.

Do licznych zmian, które zmarły Sultán w swoim państwie zaprowadził, policzyć należy pozwolenie niewiastom swego haremu pokazywania się ludowi; lecz zwyczaj odwracania oczu od kobiet tak silnie w ludzie był zakorzeniony, iż mimo pozwolenia, na sultanki nie chciał patrzeć. Sultán jak w innych przypadkach tak i tu chciał lud swój zmaglić, ale nie przeparł jego uporu. Tymczasem opowiada pewien podróżny, który długo w Konstantynopolu przebywał, że emancypacja ta kobiet tylko jest pozorna, bo wiele razy wyjdą dla pokazania się publicznie, nadzwyczajnie są śledzone. — W rzeczy samej zaszyto w roku 1837. wiele młodych turczynek z rodziny pierwszych państwa w wory i w morze wrzucono. Rząd w wydanych podówczas rozporządzeniach surowo gani kobiety, że wychodzą na miasto z odwiedzinami, a wracają do domu późno, a czasem i po zachodzie słońca; że mając pojazdy, trzymają młodych, a nawet chrześciańskich stangretów; iż nawet między kobietami niektóre tak dalece posunęły swą śmiałość, że w kawiarniach dzielnicy chrześciańskiej Pera lody jedzą. Wszystko to pod karą zakazano.

We Francyi zdarzył się niedawno temu przypadek, który uczy jak szybko szczęście ludzkie zmienić się może. W Epinal żyła przed półrokiem bogata, powszechnie lubiona familia. Pan Doublat, były deputowany, posiadał zaufanie swoich współobywateli tak dalece, iż nic bez jego wiedzy się nie działo, a nawet sam prefekt ulegać mu musiał. Na raz dowiedziano się, że umarł paraliżem ruszony. Na drugi dzień rozeszła się wiadomość, że wiele jego weksli w Paryżu i innych miastach zaprotestowano i że z majątkiem jego nie najlepiej stoi. Mnóstwo bankructw za sobą pociągnął. Długi Doublata wynosiły 10 milionów franków. Syn jego, jeneralny poborca, złożył swój urząd. W listach bezimiennych przygotowano go na tę wielką boleść. Nie długo potem umarła jego córka, matka nie przeżyła swjej córki. Zamiast spólcucia i litości, zewsząd ścięgały nieszczęśliwego nienawiść i prześladowanie; kilka dni go nie widziano, a po wysadzeniu drzwi pokoju znaleziono go w łożu nieżywego. Zastrzelił się. Na kartce napisał: „Życie mi jest nieznośne, nie mogę żyć bez mojej żony i córki.” W dwa dni potem ruszył paraliż jego szwagra, Vaultot, który dawniej także był deputowanym, i tak w kilka tygodni zniknęła zamożna

familia, będąc dawniej przedmiotem powszechnej zazdrości i powszechnego uwielbienia.

W Yatton przy Bristolu umarł przed niedawnym czasem król w wieku podeszłym, który wcale nie dbał o politykę, król angielskich cyganów i pochowano go z wielkimi uroczystościami.

Pewien dziennik francuzki donosi, iż w tym roku po wsiach upowszechni się palenie tytoniu. — Kilku lwów mody sprowadziło sobie pozłacane cygara z Hawanny, podobne do robionych w królewskiej fabryce dla grándów hiszpańskich i do palonych przez Don Pedra. Damy palą tak zwane pajlas, bardzo krótkie cygara, które zmuszają rozpalających cygara zbliżyć się bardzo blisko ustami do siebie; jest to hiszpańska galanterya. Paryżanki pójdą za przykładem Andaluzianek, które nie zawsze, tylko przy sposobności palą cygara.

Polityczne gazety opowiadają dziwne zdarzenia o pewnym Polaku (podobno Gurowskim) który infantkę hiszpańską, córkę Infanta Don Francisco de Paula uprowadził. Między innymi i to, że po drabince jedwabnej (które więc z mody nie wyszły) z trzeciego piętra kamienicy zniósł infantkę aż na dół, trzymając ją na ramieniu. — Czyń tu wyrzuty, że w pocie czoła pracować nie chciał!

Znany poemat: „Lalla Rookh”, w dwudziestym wydaniu wyszedł na świat. Poeta, Tomasz Moore, otrzymał za niego 18,000 talarów, za nim wiersz był napisany.

Paryżan zajmuje teraz dziwne zjawisko natury i tłumaczą je rozmaicie. Od czasu postawienia kolumny lipcowej, pod którą spoczywają zwłoki poległych w lipcowej rewolucyi, obrał sobie czarny gołąb mieszkanie pod pachą jeniusza wolności, postawionego na tej kolumnie. Po niejakiem czasie znalazła się towarzyszka do niego, także jak kruk czarna gołębica i zbudowały sobie gniazdo w liściu akantu otaczającego kolumnę. Wypielegnowały zaś młode jak śnieg białe gołąbki.

W dniach szczęścia i wielkości restauracyi angielskiej odwiedził książe Yorku starego niewidomego Milтона, dla nasycenia złośliwej swój ciekawości. Zapytał poetę, czyli on uznaje ślepotę swoją za karę Bożą, za pisma wymierzone naprzeciw królowi. Milton odpowiedział spokojnie: „jeżeli uważacie ślepotę moją za karę niebios, jakże wytłumaczycie los waszego ojca? Jam wzrok jeno utracił, on zaś głowę.” Książę wróciwszy do dworu czynił wyrzuty królowi, czemu Milтона nie każał powiesić. „Jak się miewa?” zapytał król.

•Biedny i stary•

•Biedny, stary i ślepy?• odrzekł Król Karól.

„A tobym był głupi, gdybym go kazał powiesić, uczyniłbym mu przeto przysługę. Kiedy w takiej jest nędzy, niech żyje.”

Scribe i Thomas napisali nową operę w dwóch odsłonach, pod nazwiskiem: „Carmagnola.”

Utrzymują, iż panna Mars ustępując ze sceny dramatycznej, otrzymała urząd jeneralnego inspektora sztuki dramatycznej we Francyi z roczną pensją 6000 franków.

W Paryżu zapomniana gra w piłkę upowszechnia się coraz więcej wśród świata eleganckiego i zamieniła się u wielu w namiętność. Chcą pyszny gmach do gry w piłkę.

Jedna z najbogatszych i najpiękniejszych dam Paryża owdowiała od lat kilku, oświadczyła przed niedawnym czasem swym licznym wielbicielom, iż postanowiła nareszcie pojsć za mąż. To oświadczenie nastąpiło w strzelnicy, dokąd codzień przybywała dla strzelania do tarczy. Wszyscy wielbiciele starali się jak najbardziej przypodobać się młodej pięknej wdówce dla otrzymania jej ręki; ale o wiele w swych usiłowaniach oziębli, gdy piękność ta oświadczyła, iż tylko za tego pojdzie za mąż, który jej o kroków trzydzieści potrzyzyma w rękę zegarek dla rozstrzelenia. Tylko pan F... przystał na ten warunek, zapewne najodważniejszy, albo też najzakochańszy. Stał o trzydzieści kroków przed damą, wyciągnął rękę z zegarkiem i ani zadrgnął. Strzał padł, zegarek przysnął i małżeństwo zawarto.

Pewien chłopiec z Irlandyi, starając się w Londynie o miejsce dla siebie, i wiedząc, że Anglicy bardzo są uprzedzeni przeciw Irlandczykom, zaparł się swego pochodzenia. Obywatel jeden, który chciał chłopca przyjąć w swą służbę, rzekł nakoniec: „nie pojmuję, mój chłopcze, dla czego się zapierasz, żeś Irlandczyk, wiem z pewnością, że tam się urodziłeś” — „Tak jest, kochany panie, jam się urodził w Irlandyi, ale to nie jest hańbą, i dla tego jednak nie jestem Irlandczykiem. Przecie koźmi nie jesteśmy, choćbyśmy się w stajni urodzili.”

Napoleon przez całe życie namiętnie lubił grać w szachy, grał w nie w każdym wieku i na każdym miejscu, w swych pałacach, w obozach, biwakach, w Egipcie, Rosyji, na Elbie i wyspie Śtėj Heleny. W czasie niewoli przysłała mu pewna angielska familia przepyszne szachy, nie odebrał ich przecie dla tego, że na figurach był herb cesarski wyryty. Szachy Napoleona z wyspy Śtėj Heleny są teraz własnością oficerów pólku 9. angielskiego. Zresztą Napoleon nie najlepiej grał w szachy; duch jego potrzebował rozleglejszego pola. Partye zwykle źle rozpoczynał i okazywał coraz większą niecierpliwość,

skoro przeciwnik jego długo się namyślał. Kiedy partya żywić się posuwała, natenczas zwiększała się i jego uwaga. Przegrał partya, wówczas nie ukrywał swego gniewu, dla tego też unikali jego polubieńcy wygranej. W czasie przygotowań do wyprawy na Rossyą — powieść ta zupełnie jest nie znaną — grał Napoleon pewnego wieczora w szachy z marszałkiem Berthier, w tém oznajmiono mu przybycie perskiego posła. Rozkazał go wprowadzić, zadawał posłowi mnóstwo pytań, nie przerywając sobie gry w szachy, poseł nakoniec doczekał się chwili, w której też jemu mówić dozwolił. Wychwalał między innymi konnicę perską i stawiał ją nad inne. Cesarz mu zaprzeczał, poseł zaś obstawał przy swoim, Napoleon zaś rzekł: »jutro obaczysz przegląd mojej jazdy.« Pers oddalił się, partya szachów jeszcze nie odegrano. Rozmyślając nad nowym posuwaniem figur, napisał Napoleon szybko rozkaz, powołujący wszystkie półki jazdy z pod Paryża do Tuileriów. O przeglądzie tym więcej nie rozmawiano, a nazajutrz przechodziło 40,000 jazdy w Tuileriach przed cesarzem i posłem perskim. Paryż widział tę piękną armię po raz ostatni; w kilka dni potem ruszyła do Rossyi, i jak wiadomo więcej nie wróciła.

MODA. — Paryż, dnia 2. Czerwca 1841. Wiele dam pokazuje się w białych sukniach, które na spodnicach różowych, niebieskich, żółtawych, lilijowych pięknie odbijają. Przepaska do nich o długich końcach, koloru spodnicy.

Falban z małemi wyjątkami nie używają więcej do oszyć sukien. Fałdy najrozmaitsze i ukosy zastępują je w tych czasach podróży. Ale i fręzle i sznury do oszyć sukien nie wyszły z mody, lubo ten wystrój cokolwiek ciężkim na tę porę się wydaje.

Podziwialiśmy w tych dniach pewną damę bardzo pojedynczo ubraną, której skromna elegancya wszystkich oczy na siebie zwracała. Suknia jej z lekkiej materyi, letniego kaszemiru, miała stanik u dołu i u góry zaokrąglony; na nim pelerynę nie przechodzącą po za łokcie. Z przodu stanik był osadzony aż do przepaski dwoma rzędami maleńkich rznętych i połączanych guzików, a z tyłu u kibici dwa podobne guziczki. Rękawy w całej długości obcisłe, u dołu pięcioma malenkiemi guzikami złotemi spięte. Powłoka na pozór wążka, była bardzo obszerna, tylko od dołu aż do góry we fałdy ułożona. U dołu ukosy trzy, na dłoń szerokie, w oddaleniach od siebie na trzy palce.

Przy tej sposobności namieniamy, że wiele dam

ukosy te wążkami fręzlami oszywać dają, w kolorze sukni lub jaskrawo odbijającym. Inne jeszcze każą przedział między ukosami w przeciwnie fałdy układać, co pięknie wygląda.

Długie szale muślinowe orzucone koronkami bardzo się podobają, szczególniej jeżeli koronki są szerokie i piękne mechelskie. Noszą także całe szale z guipure, które najwięcej stósują się do sukien sutych jedwabnych. Na wieczornych towarzystwach widzimy długie szale z indyjskiego muślinu, przerabiane jedwabiem wielobarwnym, a nawet złotem, srebrem i z fręzlą z tej samej tkaniny.

Canezous nastaly w miejsce spencerków, łatwe są do przyjęcia najrozmaitszych zmian i stósują się dla miłych swych form tak do pojedynczej elegancyi, jakoteż do okazałości.

Za nowość uważamy kapotki w tej chwili z koronek, podszyte jedwabiem kolorowym i wystrojone różami bengalskimi, równie jak gładkie krepowe z kwiatami z tej samej tkaniny.

Włoskie kapelusze słomkowe, szyte, z pojedynczymi kwiatami, noszą na wsiach do sukien z niebielonego batystu lub nankinu, które z przodu i u dołu u powłoki mają girlandy haftowane kolorową włóczką. Girlandy te są także u stanika na okół i u rękawów.

Naramiennice ulubioną są ozdobą i noszą je po dwie lub trzy przełożone na siebie. Moda przecież wymaga, żeby były wyłącznie ze złota lub koralów. Szczególniej ostatnie są najwięcej poszukiwane. Czasem pojedyncza wstążka aksamitna zastępuje miejsce naramiennicy.

I szpilki robią z koralu, piękne i modne. Zapomnieliśmy jeszcze donieść, iż w Longchamps w miejsce wielkich obwodów u kapeluszy, bardzo małe się ukazały, tak iż całą twarz odsłaniają, bez posuwania ich na tył.

Objaśnienie ryciny.

1. Ubiór męzki. Frak z szerokimi, zaokrąglonemi połami, kołnier szalikowy i świecące guziki.
2. Kapelusz jedwabny z slaniającemi się piórami kolorowemi. Suknia muślinowa wraz z szarfą z tej samej tkaniny. Suknia osadzona w falbany wachlarzykowe, wśród nich wielkie guziki.
3. Kapelusz krepowy strojny girlandą z róż. Suknia z tkaniny mieniącej. Stanik gładki, rękawy obcisłe, z przodu ku dołowi powłoka osadzona w kształt fartuszka. Szal krepowy z długą fręzlą.
4. Ubiór do konnej przejazdki z chaptemiru, stanik podniosły, rozwarty, rękawy obcisłe. Półkoszulce we fałdy. Krawat czarny. Kapelusik okrągły z piórem i kutasami.



L. Brückner J.C.

